Lwów 16. Października **№ 123.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bíóro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

V.

Intrygantka warszawska.

Teraz musimy znowu zajrzeć do Warszawy, i zobaczyć co się tam dzieje z innemi naszej powieści osobami. A najprzód zajdziemy na stary rynek warszawski. Tam w niepokaźnej kamienicy narożnej, nad której głównym wchodem herb Junosza był wyryty, znajdował się na trzeciem piętrze apartament, złożony z przedpokoju, pokoju bawialnego i sypialni. Umeblowanie całe nie było nader wykwintne, ale odznaczało się we wszystkich szczegółach swoich porządkiem drobiazgowym. W przedpokoju, który mieścił w sobie parę krzeseł, czarną skórą obitych, komódkę i szafkę, zawieszony był dzwonek, przybywanie gości oznajmujący. W pokoju bawialnym była kanapa i sześć krzeseł, włosienną czarną materją wybite, komoda machoniowa, zegar ścienny, nader ozdobny, z bronzowemi alegorycznemi figurkami, stół do kart, zielonem suknem wybity. Najwięcej w tym pokoju uderzały zawieszone po ścianach olejno malowane obrazy w złotych sutych ramach. Były to portrety Stanisława Ciołka Poniatowskiego, kasztelana krakowskiego i Karola XII. króla szwedzkiego, inne znowu spłowiałe więcej, podziurawione i w drewniane tylko ramy ujęte, przedstawiały rodziców pana kasztelana krakowskiego, Franciszka Poniatowskiego i żony jego z domu Niewiarowskiej. Skromne to były i licho przez partacza malowane portrety, odpowiednie zupełnie fortunie Poniatowskich za czasów dziada króla jegomości, bardzo skromnej i która teraz dopiero przyświecać zaczęła. Były dalej w różnych ramkach nie olejne już, ale sztychowane portrety Stanisława Augusta, księdza Michała brata jego, późniejszego prymasa, Andrzeja, drugiego brata królewskiego, zostającego pod tę porę w służbie austryackiej i tegoż dumnej i nadętej małżonki, która ledwie nie pękła z tej pychy, że jest przecie bratową królewską. Odpuścimy wszakże niewieście tę słabość, której tak często podlegają mężczyzni, silniejsi głową i sercem, wszak ona to była matką naszego księcia Józefa, który narodowi bohatyrstwem a patryotyzmem sowicie wynagradzał śmieszne matki cudzoziemki wady. Sypialnia, kończąca ten apartament, ciągle prawie była zamknięta, i niema z resztą co pisać o niej, chyba wspomnieć o łóżku, zwyczajem ówczesnym nadzwyczaj szerokiem i wysokiem.

Było zaś to pomieszkanie starej panny, która w owym czasie odgrywała pewną rolę w Warszawie, pod nazwiskiem Józefy van Viebig. Była to sobie osóbka nie wielka, ułomna i garbata nawet, kończąca szczęśliwie szósty krzyżyk. Niemniej przeto pełna była pretensyi i dla tego zawsze była uróżowana, wyblanszowana, w strojnej peruczce, z zębami wstawionemi i uśmiechem zalotnym na twarzy, co wszystko razem robiło, że była śmieszną, właśnie dla tego iż śmieszną być niechciała wedle swego rozumienia, poddające si wymaganiom koniecznym i wieku i powierzchowności swojej.

W chwili gdy wchodzimy do niej, zastajemy ją grającą w marjasza ze znanym nam dobrze Kierekieszą. Kończą właśnie pulę ostatnią, i w czasie gry rozmawiają.

— Proszę jegomości jutro na rewanż, ozwała się stara panna głosem cieniutkim, któremu starała się nadać przycisk naiwny, dziecinny prawie. Należy się panu memu bo ja dzisiaj go ograłam. Ale proszę na cały wieczór, będzie rybka smażona, dzisiaj nie mogę dłużej służyć memu dobrodziejowi, mam bowiem do załatwienia ważne interesa, bardzo ważne, jakem *van*... a ja o te van bardzo stoję, kocham i szanuje je, jak irlandczyk swoje *O*, szkot swoje *Mak*, niemiec swoje *von*... bo te *van*, krwią w Holandyi okupione, bardzo wiele znaczy.

Nie wdajemy się nawet w to, czyli panna Józefa prawdę mówiła, bo nam to z resztą wszystko jedno. Zamiłowanie jej wszakże w porządku, zdawało się przemawiać za jej holenderskiem pochodzeniem.

— Chętnie bym jeszcze parę pulek zrobiła, szczebiotała dalej gadatliwa panna, ale nie mam czasu, dalibóg że nie mam czasu. Lada chwila, przyjdzie tu jeden jegomość w interesie . . . a w jakim . . . Ha! ha! ha! aż mi się śmiać chce. Ot wiesz co panie Kierekiesz! możemy to sobie oboje powiedzieć, że aż miło mieć taki rozum, jak my mamy oboje. Ot jakoś żyjemy, i nie złe robimy interesa. Prawda że to już sama naucza natura.

A nie ma włosów, to człowiek cudze przywdziewa, niema zębów, to fałszywe wprawić potrzeba; bladość nudzi a więc różem ją zafarbować, a jeżeli żółtość dokucza to ucieczka prosto do łabędzika. Otóż wedle tego samego prawidła, jeżeli niema dukatów, trzeba starać się wszystkiemi sposobami by je zarobić... byle uczciwie i sumiennie, nie wypędzając niczyjej duszy z ciała. Hej! hej! jeszcze by lepiej szło, żeby to człek mógł się zbliżyć do rodziny królewskiej! przecie w uznaniu dawnych zasług moich, powinnyby spadać na mnie jakie takie datki.

— Co to, moja pani! przerwał Kierekiesz gadatliwą babinę, to daremna rzecz! Oni wszyscy są nieprzebłagani; zadają imości złe obchodzenie się z ich ojcem, kasztelanem krakowskim. Różne twierdzą rzeczy, to że jejmość myłaś go nieraz zimną wodą, to znowu, że często niemiał dosypanej świeżej tabaki, albo że najmniejszej nie było czystości w najbliższem otoczeniu kasztelana; nakoniec że najdroższe pasy, ordery i inne podobne sprzęty poznikały gdzieś, a przecież jejmość nad tem dozór miałaś, i bóg wie co tam jeszcze mówią. Nieraz już próbowałem przemawiać za wasińdźką, ale przekonałem się że nadaremnie.

— Boże wielki! taka to sprawiedliwość ludzka na tej ziemi! Przecież żyją dotąd ludzie, należący dawniej do służby kasztelana. Ci niechaj powiedzą sumiennie, jaką ja byłam i jakie trudy znosiłam przy tym starcu. Ja to bym mogła głośno zapytać, kto lepiej obowiązki wypełniał czy ja, czy familja? Wszakże pani kasztelanowa trzymała zawsze chustkę perfumowaną przed nosem, zanim bon jour do męża wykrztusiła, albo synowie, nie wyłączając króla nawet, odwidzając ojca, patrzyli ciągle ku drzwiom, medytując jak by się tu wynieść.

W tej chwili ozwał się dzwonek przedpokojowy, i lekkie pukanie do drzwi. Wszedł przez nie młody i czupurny mężczyzna w czarnej opiętej czamarce. Był nim pan Ignacy Sztrom. Pan Kierekiesz skłoniwszy się gospodyni domu i nowemu gościowi, którego badawczem zmierzył okiem wyszedł, wyszedł, przyrzekając na jutro bytność swoją.

— Jak się ma pan Ignacy? przemówiła stara panna. Dawno niewidzieliśmy się; pewnie mnie pan potrzebujesz teraz, cieszy mnie to, bo i mnie jesteś potrzebny.

— Wszak miałem już przyjemność wytłumaczyć pani dobrodziejce przed odjazdem do Radomia, czego nam zapewne będzie potrzeba.

— Więc podróż radomska?

— Była daremniuteńka.

— Spodziewałam się tego. No! no! ja panu nie odmówię, ale proszę siadać.

— Pani darujesz, ale musimy się spieszyć. Teraz jest już ósma; o dziewiątej przyjdzie woźny do hotelu.

— Jakoś to będzie! osmej niema jeszcze na moim zegarze, a mój zegar to przecie kasztelanowi krakowskiemu ostatnią wydzwonił godzinę. I nie lada to zegar; kasztelan Poniatowski miał go w upominek od Karola dwunastego.

— Tymczasem czas uchodzi, jabym prosił...

— A ja bym prosiła jegomości, abyś mi jasno powiedział, jak stoimy względem przyrzeczonych mi za tę sztukę dwudziestu czerwonych złotych.

— Zaraz po podpisie.

— No! no! Ja nic nie wezmę i waćpanu jeszcze dwadzieścia dukatów zapłacę, a zatem będziesz miał czterdzieści dukatów.

— To zapewne za ten interes, o którym mi jejmość powiadałaś pierwej.

— Trzeba tylko miejsce opatrzyć.

— Byłem już na miejscu, i oglądnąwszy lokal, mogę się tej sprawy podjąć. Na dziedzińcu szewskim jest gołębnik, do którego wlazłszy, można obejrzyć cały dziedziniec książęcy jak na dłoni, a do tego noc miesięczna, widać jak w dzień. Już to noce bardzo zimne! gołębnik stary i kiwający się... a jakby mnie szpiegującego dostrzegli... a nareszcie psy... i moje łytki...

— Ale czterdzieści dukatów!

— Zapewne! ha! no! audaces fortuna juvat!

— Dobrze panie Sztrom! i ja rozumiem po łacinie: manus manum lavat. Więc tedy spodziewając się że gołębnik się nie zawali, psy nieodgryzą łytek, jeżeli jeszcze jakie posiadasz, a zimno cię nie zabije, pamiętaj wcześnie pójść przed północą, i ze swojej strażnicy dobrze uważaj na okno siódme od dziedzińca.... a piąte od ogrodu. Rozumiesz asindziej?

— Ale rozumiem i pamiętam. Uważać trzeba, czy przez to okno lub nareszcie przez inne nie będzie właził kto do apartamentów, lecz kto to taki? i po co?...

— Oto panu memu mniejsza; wszak ci wszystko jedno, z czyjej kassy wpłynie czterdzieści dukatów do pańskiej kieszeni. Proszę tylko donieść mi zaraz o trzeciej rano, bo to jutro poniedziałek, a właśnie w ten dzień muszę korzystać z wiadomości mi udzielonej. Kawunia gorąca i doskonała czekać będzie na pana Sztroma, a drzwi będą otwarte.

— Wszystko się stanie; lecz teraz chodźmy do hotelu krakowskiego.

— Już idę; tylko się nieco otulę.

Wkrótce też wyszli, i prosto udali się do hotelu krakowskiego pod Nr. 17, najęty już poprzednio przez pana Ignacego.

— Więc tedy ja jestem Weronika Wolska, ozwała się panna van Viebig, śmiejąc się serdecznie, właścicielką Powiatówki, a asan dobrodziej jesteś Maxymem Wolskim, moim wielce ukochanym siostrzeńcem: ha! ha! ha! to arcy wyborny koncept!...

— Dla Boga! ciszej nieco mościa dobrodziejko a jak nas kto podsłucha?...

— Niewiedzieć co! nie mnie to złapać!... bita ja, bita!... ale doskonała stancyjka na ustroniu, zupełnie jak dla radomskiej parafianki; wiele też cię kosztuje?...

— Nic prawie, bo posługacz tutejszy był niegdyś szkolnym kolegą moim, ale niechciał się uczyć, i wypędzony ze szkół, zaszedł aż tu.

— Dobrze to powiadają, że wszędzie trzeba mieć przyjaciół, i w niebie i w piekle.

— Ale pamiętaj no imość dobrodziejka podpis dobrze udać!...

— Śmiej się z tego i nie frasuj mój Maxymciu! Podług wydartej kartki uczyłam się przez kilka godzin, i nie jeden arkusz papieru zepsułam... ale też ciocię Weronikę tak podpiszę, że sama przysięgnie.

— Cicho, już idzie!...

W rzeczy samej dał się słyszeć w tej chwili chód ciężki i zmęczony. Był to woźny dążący pod Nr. 17. Gość to we wszystkich częściach świata i we wszystkich czasach znany, i zawsze nie miły, bo najczęściej jest zwiastunem jakiejś nieprzyjemności, rzadko jakiego zysku, a zawsze prawie nowego wydatku pieniężnego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! wielmożna pani Dobrodziejka! ozwał się głosem nosowym, do którego woźni przyzwyczajają się najczęściej, i przez częste wygłaszanie nudnych sentencyj i przez noszenie okularów.

— Na wieki wieków amen! odpowiedziała panna Van Viebig, przybierając postawę wielce poważną i bogobojną.

— Mam tu nie wielki interesik do wielmożnej pani, i szczęśliwy jestem że mnie to trafiło a nie kolegę Pierzewicza z Radomia, kiedy wielmożna pani sama do Warszawy zjechała, z godnym siostrzeńcem. Idzie tu o odebranie u Plenipotenta Xięcia wojewody Wileńskiego, deponowanych trzydziestu tysięcy złotych polskich. Idzie tylko o to, abyś wielmożna Pani podpisała te to doręczenie na zmazanie oblaty, odebrała awiso bankierowskie, i podpisała cesją na rzecz wielmożnego tutaj obecnego siostrzeńca swego, który mnie uwiadomił o przybyciu wielmożnej pani.

Panna Józefa wziąwszy pióro do ręki, z najzimniejszą krwią popodpisywała wszystko co podpisywać miała. Uczynił to samo pan Ignacy Sztrom jako Maxym Wolski. Woźny dostał kilka złotych, interes był skończony.

— Niech Bóg wynadgrodzi wielmożnemu państwu, i wielmożną panią szczęśliwie doprowadzi do Powiatówki.

— Daj Boże!... dziękujemy!

A gdy pan Rzeszotko, woźny, wyszedł, spojrzeli po sobie sprzymierzeni i uśmiechnęli się.

— Chodźmy, rzekł fałszywy siostrzeniec.

— Trzeba z pół godziny poczekać! odrzekła fałszywa ciotka. W tej mierze nie zaszkodzi ostrożność.

Po kilku chwilach rozmówiwszy się raz jeszcze o nocnej wyprawie, rozeszła się zacna para.

Pan Ignacy wrócił do siebie, i wszedł do stancyi, która ani porządkiem, ani dostatkiem się nie odznaczała. Aż zgrzytnał zębami tak było zimno. Sztrom należał do tych ludzi, którzy żadnego niemają stałego dochodu, bo żadnemu stałemu nie chcą poddać się zatrudnieniu. Biegają za lekkim zarobkiem bez pracy, po krętych nie zawsze uczciwych ścieżkach. A taki zarobek choć czasem jest znaczny, niespodziewany, naprzód niewyrachowany, jak przyjdzie tak i pójdzie, często na zbytkowe wydatki, takim ludziom właściwe, bo tylko huczne hulanki najlepiej zagłuszają sumienie. Smutne to życie między zbytkiem a nędzą, bez wygód, bez jutra, bez myśli kierującej, na przypadek, na wiatr losu puszczone.

Biegał pan Sztrom po izdebce swojej, aby się zagrzać, i myślał o dzisiejszym zarobku, o nocnej wyprawie.

— Czterdzieści dukatów! niezły zarobek.... Ale babinie musi iść o grube pieniądze, bo jużciż jej pewnie o próżną ciekawość nie idzie. Możeby jeszcze co dało się wyciągnąć z tej sprawy... trudno będzie! bo baba kuta na cztery nogi!... I nareszcie muszę już raz ukończyć interes z moim Maxymem; dobry i strasznie głupi chłopiec! muszę też raz wyleźć z tej biedy mojej. On mi do tego pomoże! naturalnie mądry kosztem głupiego żyć powinien. Jak długi popłaci, będzie musiał nowe zaciągać! Zanim nowe nadejdą termina, i fałsz dzisiejszy się odkryje, przejdzie parę lat!... byle dalej! a potem!... Ha, co potem to potem, ktoby tam głowę sobie nad tem łamał.

Tak chodząc i medytując przebył Sztrom kilka godzin, a wieczorem najadłszy się i napiwszy należycie dla lepszej fantazyi, wdział na się berlacze, kożuch, czapkę starą, i wyszedł w swoją drogę....

— Szpiegować! pomyślał sobie, to lekki chleb i dalibóg zabawny.

Pół do dwunastej wybiło, gdy pan Ignacy, zakutany należycie, wsunął się niepostrzeżony na szewskie podwórko. Niepospolicie ucieszył się, gdy zastał u szewca wszystkie światła pogaszone. Zkompromitował go nieco mucyk szewski, który zaczął szczekać na nieznanego przybysza, czemu zawtórowały brytany z książęcego dziedzińca, tem więcej rozgniewane, że je dotąd dla ważnych zapewne powodów z łańcuchów niepospuszczano. Przygotowany był do tego pan Ignacy, jakoż rzucił kilka kości mucykowi, co go zupełnie uspokoiło.

Oparłszy nogi na parkanie szewskim, wydrapał się nań pan Sztrom, aby zajrzeć na dziedziniec pałacu książęcego.

— Doskonale! mruknął sam do siebie! widać wszystko, nic mi nie ujdzie!...

I spiąwszy się na parkanie, skoczył co prędzej do przytykającego gołębnika, gdzie wygodnie ułożywszy się spoglądał jakby z wieży na oba dziedzińce. Czasu miał

dosyć do tego przeglądu, to też jakkolwiek niebył skłonny do filozoficznych rozmyślań, zaczął porównywać oba te obejścia, tak różne od siebie. Parkan nędznego dworku, pochylony ku ziemi, świadczył o ubóstwie obejścia szewskiego, obdartego, zawierającego w sobie prócz nędznej chaty, rozmaite na podwórku zebrane brudy i nieporządki. Dom książęcy choć bez piętra, dumnie wznosił się na środku obszernego dziedzińca, okolonego żelaznemi sztachetami, które tu i ówdzie przerywały murowane słupy. Na dziedzińcu samym porozrzucane były klomby, zasadzone zagranicznemi krzewami, troskliwie na zimę słomą osłoniętemi. Rynwy w koło domu bieżące, przy świetle księżyca w pełni wydawały się jakby srebrne. Piasek zaś, wysypany po ścieżkach między gazonami i pałacem, był tak czysty, że najpedantyczniejsi biurokraci mogli by śmiało go użyć do piaseczniczek swoich, aby nim posypywać swoje najważniejsze akta.

Okna wszystkie tej strony zasłonięte były ciężkiemi firankami, i żadne przez nie nieprzebijało światło. Ciemno zdawało się być we wszystkich komnatach, których honor i piecza, nieświadomie wprawdzie, spoczywały w rękach naszego zuchwałego plebejusza.

Nudziło się niepospolicie naszemu awanturnikowi. Ale bo toż to długiego potrzeba czasu, zanim się wielki dwór uspi. Od czasu do czasu widział on ludzi dworskich jak przechodzili z miejsca w miejsce, lub stając w bramach kurzyli lulki, i różnemi zabawiali się rozhoworami.

— Diabli wiedzą, mówił jeden spluwajac, po co my tu na zimę zostali, kiedy przecie wszyscy panowie przenieśli się do miasta.

— Kaprys taki, kaprys pański, a kaprysy światem rządzą; mówił drugi.

— Kaprys! zapewne! ale nie pana, tylko pani, dodał trzeci.

— A każdy kaprys ma swoje przyczyny, ozwał się inny.

— Ot idzie przecie koniuszy.

— Ciekawy jestem, jakie da na jutro rozkazy?

— Chłopcy! zawołał koniuszy, wchodząc przez bramę główną od miasta wiodącą, spać teraz! Jutro dwa cugi kare mają stać zaprzęgnięte o drugiej, bo obiad u króla; w wieczór to samo, bo bal!...

(C. d. n.)

ŻÓŁTY KWIATEK.

Gdyś mi kwiatek żółty dała,
Jam się gniewał, tyś się śmiała,
Lecz na zgodę, na zadatek,
Wziąłem z rąk twych żółty kwiatek.

Żółty kwiatek, zgubne ziele,
Już się zazdrość w sercu ściele,
Bo już taki wyrok nieba:
Gdzie jest zazdrość, kochać trzeba.

I sam niewiem, jak się stało,
Serce kwiat ten ukochało,
I nad wszystkie róże, bratki.
Mnie najmilsze żółte kwiatki!

Rozmarzony snów potokiem,
Patrzę w niebo gniewnem okiem,
Te błękitne duchów światy
Czemuż to nie żółte kwiaty?

I te gwiazdy, tam w przezroczy,
Co tak świecą, jak twe oczy,
Siane perły na bławatki,
Czemuż to nie żółte kwiatki?

Gdybym ja to rządził światem,
Zasiałbym go żółtym kwiatem,
Zamiast kłosów bladej cery,
Siałbym maik i jaskiery.

Niebo, woda, ziemia cała
W żółtej sukni by jaśniała,
A słonecznik z malwą w parze,
Toby byli dygnitarze!

Ja na tronie, przy twym boku,
W żółtej szacie, z szczęściem w oku,
Kazałbym ci za podatek
Kłaść u nóg twych — żółty kwiatek!

Ale próżna ta ochota,
Jam sierotą, tyś sierota,
O nie dla nas szczęścia kwiecie,
Bo sierotom źle na świecie!

Więc gdy umrę — tam za światem,
Czekam ciebie z żółtym kwiatem,
Jak to słońce na tem niebie,
Z takim kwiatem czekam ciebie.

Lecz gdy życie milsze tobie,
Każę kwiat ten posiać w grobie,
Odbierając twój zadatek,
Zerwiesz z grobu — żółty kwiatek.

J. C. Z.

OBRAZKI WIEJSKIE.

przez

Bolesława Kopcia.

(Ciąg dalszy.)

Żółta kareta.

Rozmowa jak fortuna kołem się toczy, to też i tym razem przechodząc z przedmiotu na przedmiot, natrafiłem na pogodę, natrafiłem na punkt koła rozmowy, odpowiadający punktowi nadziei, na kole fortuny; najrozmowniejszy spotkać się musi z pogodą, najnieszczęśliwszy z nadzieją.

— Na niedzielę, na niedzielę pogody, zawołała jedna z panien patrząc w niebo.

— Daj wielki Boże żeby była, dodała matka.

— Będzie, powiadam że będzie, wy się nie znacie, do nowiu pewna pogoda, lecz to będzie gorsze jak Pinkus nie przyjedzie, albo jak sam wróci bez karety.

— Ach! nie wspominaj nawet mi o tem, rzekła dziedziczka i wyciągnęła krótką szyję za filar ganku, patrząc na drogę.

Kareta i Pinkus zajechali wszystkim znowu w głowy, a zapytania urywane, odpowiedzi niedokończone, plątały się po myśli i ustach tej rodziny, spragnionej kocza! Z kolei każde wychylało głowę za filary ganku, a nawet panienki od chwili do chwili właziły na ławki lub barjerki, i wyciągając swe bocianie szyjki, swym natężonym wzrokiem chciały przebić się przez lasy i wzgórza i ujrzeć karetę!

Nagle wszyscy krzyknęli « jedzie! jedzie!« panienki uczepiwszy się wzajem za szyję, wspięły się na palce i powiewać zaczęły chustkami; dziedziczka ująwszy się pod boki, kręciła się po ganku: «ja nic jeszcze nie widzę;" pan Obrobski zaś objąwszy się oborącz słupka, wspinał się na palce i wołał: „A dali Bóg, że jedzie mi żółta! brawo! bravissimo! jesteśmy już w Dobrowolce!

Wszyscy tak zajęci, poobracani do mnie jak najnieprzyzwoiciej, z twarzami promieniejącemi radością, poopierali się o słupki, poręcze, ściany, ławki, jakby o własnej sile, pijani szczęściem ustać nie mogli; nareszcie i ja ujrzałem z daleka żółty, wysoki, odkryty powóz, zaprzężony w cztery nędzne, chłopskie szkapy. Na koźle poganiał zmęczone koniska jakiś chłopek, w środku zaś powozu siedział jakiś żyd, którego siwa broda i lisia czapka były szczęśliwem zjawiskiem dla pp. Obrobskich.

— O jest i Pinkus. Jak się masz Pinkus! wrzeszczał pan Obrobski, a Pinkus unosząc się na siedzeniu, w obu rękach podnosił wysoko w górę dwa pudła.

— Mamo, mamo, pokazuje, pokazuje! zawołały panienki.

— Co pokazuje? zapytała chciwie mama, drapiąc się na ławkę z pomocą sukienek panien, których się jak drabiny czepiła.

— Kapelusze, mamuniu, kapelusze pokazuje.

— A dali Bóg że prawda, to bestja ten Pinkus, wołała radośnie dziedziczka, a mężu kochany śliczna kareta, śliczniutka, żółta.

— Jak złoto mamuniu, nie prawdaż?

— Co wy wiecie, ja wiedziałem co kupić, ja mam gust.

Dziwne rzeczy, że zwykle wszystkim ludziom konduity Obrobskich, kolor złoty najwięcej w guście, dla czego to? zbyt drażliwa materja.., posądzać cały rodzaj Obrobskich, dziś tak mnożny, o zamiłowanie złota, choćby w samych pozorach.

— Słyszycie, trzeba Pinkusa przywitać wiwatem za to, że się tak dobrze spisał, rzekł pan Obrobski i odchrząkując zaczął sobie piersi stroić.

W tem wybiegły na ganek i dziewczęta dworskie, i kucharki i służba męzka, a pani Obrobska uszczęśliwiona i chcąc wszystkich uszczęśliwić widokiem karety, porwała jakąś z brzegu dziewuchę i poczęła ją ciągnąć na ławkę.

— Proszę łaski pani, ja i stąd będę widzieć dobrze, mówiła dziewczyna, wyrywając się z rąk dziedziczki.

— Głupiaś, będziesz lepiej widzieć, i gwałtem wciągała dziewczynę po dziewczynie na długą ławkę.

Tymczasem powóz się coraz zbliżał, a Pinkus ciągle unosząc kapelusze do góry, wachlował niemi w powietrzu. Nareszcie olbrzymie, przeciągłe vivat! vivat! wypadło z ust całej familji i rozchoconych domowników, głos jednak suchego Obrobskiego był najszczerszy, bo najgrubiej i najdłużej brzęczał mi w uszach. Powóz stanął przed gankiem i wszyscy się rzucili do niego, jak gdyby chcieli Pinkusa, ciągle się kłaniającego z karety, na własnych rękach znieść w tryumfie na ziemię. Pan Obrobski otworzył drzwiczki, i biorąc z rąk Pinkusa pudła z kapeluszami rzekł:

— No wysiadaj, ty szachraju.

— Szachraju?? a jak ja powiem co za inters zrobił z tym ziołtym kocz....

— Więc gadaj mi, wiele utargowałeś, wiele?

— Do całej karety dodasz pan jeszcze 20 korcy pszenicy.

— 20 korcy pszenicy, czyście się w cztery oczy umawiali?

— Tylko moje dwa i jego dwa, więcej ich nie było.

— Bravo, bravisimo! dam im wyroslej, wyrosłej jak Boga kocham, kto mi co zrobi, wołał p. Obrobski,

stawiając kapelusze w powozie, kontent, że mu się interesik szachrajski ściele.

— A cóż, na siano kupcy są?

— Już mam zadatek.

— A ty bestio Pinkus, chwat z ciebie, chodź żydzie, muszę cię o wszystko wypytać. I pan Obrobski zajęty sianem, wyrosłą pszenicą, rzucił powóz i uszczęśliwioną familją i wszedł do dworu z Pinkusem.

Powóz był obmacywany od mamy i panienek, służba tylko nie śmiała dotknąć tego żółtego lakieru, w którym mieli paradować jaśnie państwo.

Chłopek wyprzągł szkapska zmęczone, zarzucił lejce na ich grzbiety i odprowadził na bok, aby biedoty poskubały nieco trawy.

— A co wspaniale ci było jechać? zapytała dziedziczka chłopka.

— Et, jaśnie pani, toć mi zwykło tak wysoko siedzieć, toć to fura z sianem jeszcze wyższa, i na niej lepiej siedzieć, bo nie tak kotłuje.

— To osieł! Pan Bóg nie dla chłopów stworzył karety, rzekła dziedziczka, i nachyliwszy się ku drzwiczkom, starannie zaczęła je rozglądać. Błoto obryzgało cały powóz a szczególniej drzwiczki, a tem samem i wszystkie malowidła na nich będące. Jednak pani Obrobska nawet pod błotem dopatrzywszy ślady herbów, zawołała: patrzcie co tu namalowano! i zaczęła pazurkami odskrobywać błoto. Przynieście no wody! wołała na służące, trzeba je umyć... Służba rozbiegła się po wodę, lecz zniecierpliwiona dziedziczka, nie mogąc się doczekać ich powrotu, wzięła się, plując na swą chustkę, do oczyszczania herbów.

— Moja mamuniu, i tu z drugiej strony tak samo na drzwiczkach, zawołała jedna z panienek.

— To obmywajcie je, może tam będzie ładniejszy, bo tu dość brzydki, jakiś kozieł namalowany; i z obu stron mama i córunie tarły i czyściły drzwiczki, że aż cały powóz na wszystkie strony się poruszał. W końcu wyjaśniły się jakieś wyblakłe, poobdrapywane herby, lecz na nieszczęście dziedziczki, były zupełnie jednakowe na obu drzwiczkach.

Nabawiwszy się widokiem tych ludzi, prawie wyszłych z granic zdrowego rozsądku, zeszedłem z ganku i chcąc być uczestnikiem tej sceny (zaszczytne uczestnictwo!!!) odezwałem się do p. Obrobskiej:

— Chcesz pani, to mogę odmalować na nowo te herby, zupełnie tak jak były lub.....

— Czyby, przerwała mi p. Obrobska, pan umie malować, a skąd farb, pendzli, wszak to tego wszystkiego do malowidła potrzeba.

— Wszystko co potrzeba mam z sobą w podróżnem pudełku, które niech pani każe przynieść z mojej bryczki.

— Magdo ruszaj! przynieś pudełko z bryczki tego pana co stoi przed kuźnią, zawołała dziedziczka i pchnąwszy w kark dziewkę, wskazała jej kierunek drogi, sama zaś zwróciła do mnie swą twarz uszczęśliwioną, i wyciągając ku mnie ręce, zdawała się chcieć malarza przycisnąć do swego szerokiego łona.

Za chwilę roztwierałem moje podróżne pudło, wyjąłem z niego paletę i pendzle.

— Niech pani każe odszrubować drzwiczki, położyć je tu przedemną na ławce, a zabiorę się do roboty.

— O! panie malarzu, zawołała dziedziczka i dopadłszy z córkami drzwiczek, łatwo wyjąwszy z prostych nie szrubowanych zawias i haczyków, na rękach przyniosły na ganek i położyły przedemnie żółtą stroną do wierzchu.

— W jakiem więc polu pani chcesz, żeby herb był wymalowany? zapytałem dziedziczki, biorąc z pudełka na pewno pęcherzyk z farbą czerwoną.

— Jakto na jakiem polu?, a na naszem, na polu Bocianki, wszak to nasz grunt, grunt Obrobskich, mówiła dziedziczka myśląc, że moją ciekawość zaspokoiła.

— Rozumiem, że to grunt Obrobskich, ale w jakiem polu t. j. na jakiem tle, w jakiego koloru tarczy, jakim kolorem mam namalować o tu, mówiłem, wszystko dobitnie pokazując palcem, czy karmazynem, czy niebieskim, czy zielonym?....

— Rozumie się że karmazynem, zawołała dziedziczka.

— E, na zielonem mamuniu, dodały panienki.

— Czekajcie, czekajcie, czekaj panie malarzu, bo to trzeba mężowi zostawić do wyboru, wszak on głowa domu, rzekła pani Obrobska i z córeczkami pobiegła do głowy domu.

Ja swoje robiłem, wycisnąłem na paletę czerwonego koloru, dodałem nieco żółtego i umaczawszy pendzel, oznaczyłem na drzwiczkach tarczę, przynajmniej wielkości arkusza listowego papieru. Tymczasem dziedziczka prowadziła męża pod pachę, a panienki idąc naprzód, zwrócone ku głowie domu, patrzały mu w oczy, chcąc z nich wyczytać, czy na zielony kolor się zgodzi?

— Sam Pan Bóg się nami opiekuje, zesłał nam malarza, bo ten pan to malarz, mówiła dziedziczka gdy panienki bawiły się moim podróżnym kapeluszem.

— O już coś namalował! zawołał Obrobski, wyrwał się żonie z pod ręki i przyskoczył do ławki i chwytając drzwiczki, poniósł je do oczów i zawołał: bravo! bravissimo! na dużą milę widać będzie a w środku co pan namalujesz.

— Oczywiście herb Obrobskich, muszę go widzieć, pewno rysunek jego państwo macie?

— Jakże by było! Pawciu ruszaj, przy złotym zegarku w komodzie leży w pudełeczku pierścień.

Panna Pawcia za chwilę przyniosła safianowe pudełeczko, z którego pan Obrobski wyjął złoty pierścień z krwawnikiem.

— Co? to familji Obrobskich herb? zapytałem zdziwiony, poznając w herbie, rzniętym na krwawniku, herb znakomitej i znanej w naszym kraju rodziny.

— A juści nasz, na krwawniku mego ojca jest wyrznięty jota w jotę taki sam.

— Lecz jakim sposobem przyszliście państwo do niego?..

— Jakim? he, długa to historja, ale kiedy pan mi go malujesz, musisz ją wiedzieć. Mój ojciec wiedział, że jest szlachcicem, chciał się wylegitymować, pojechał do Warszawy i tam jak go zaczęli tumanić, tak stary chciał się już wyrzec legitymacji i wrócić z niczem do domu. Aleć Bóg mu zesłał jakiegoś poczciwego, ten go popromował, zaprowadził do takiego co to wszystkim pieczęcie wyrzyna, u niego w dużej książce wynalazł swoje nazwisko i tuż koło niego i herb! Kazał więc go sobie wyrznąć na krwawniku i oprawić w złoto, a choć go to kosztowało kilkaset złotych, no! ale jakoś się wyjaśnił na szlachcica. I ja kazałem sobie zrobić złoty pierścień, nie noszę go na codzień, bo to widzi pan dobrodziej złoto miękkie, łatwo się wyciera, a zresztą, jakby mnie w nim gdzie na polu, zobaczyło to bydło chłopstwo, to gotowe gdzie napaść i obedrzyć w kącie. Teraz tam gadają że to na papierze trzeba mieć jakieś dyplomy. Ile razy byłem Warszawie, nie miałem czasu tem się zająć, ale tego roku nie za długo żona moja z dziećmi wyjeżdża do Warszawy, to ona to wyrobi.

— No no, nie bój się, tylko pokażę im złoty pierścień, to i dadzą dyplom.

Nie pytając więcej, wziąłem pierścień do rąk, na który cała rodzina chciwie patrzała, i w kilka minut grubo, niezgrabnie, ale jaskrawo i szeroko zamalowałem na obudwóch drzwiczkach, dwie wyczerwienione tarcze.

— Skończyłem, rzekłem obmywając w blaszance z terpentyną pendzel.

— Dobrodzieju, niech ci Bóg nagrodzi za twą łaskę, mówił Obrobski, śliniąc mi oba policzki.

— Za pańską bezinteresowność, dorzuciła pani Obrobska, uprzedzając mię, abym nic nie żądał za wymalowanie obrazków.

Podczas tej całej sceny mądry Pinkus stał pod ścianą, gładził siwą brodę i suchem, wpadłem okiem mrugał dowcipnie, uśmiechając się, jak tylko żydzi mądrzy a przemyślni uśmiechać się umieją, z tych, którzy mu przed chwilą vivat! krzyczeli.

— No chodź Pinkus, skończymy interes, rzekł pan Obrobski i wyszedł z ganku ze swoim plenipotentem.

Gdy córeczki z mamą nie przestawały krążyć około powozu, gromady włościan, powracających z pola, kłaniając się swemu państwu, przystawali nie śmiało, dziwowali się karecie i rozmawiając z cicha między sobą, śmieli się z wysokiego pojazdu. Pani Obrobska tak była uszczęśliwioną, że i do nich zwróciła swe zapytania. «A co nie piękna kareta? a głupi dziwią się pewno, jeszcze nigdy nie widzieli coś podobnego.» Na co chłopstwo głaszcząc tylko ręką włosy na czoło, kłaniali się do ziemi przed jaśnie panią i karetą.

Po za płotem, gęsto plecionym, odgradzającym zabudowania dworskie od drogi, migała czasami jakaś niebieska czapka z kutasikiem i takiegoż koloru katana.

— Mamuniu! mamuniu! zawołała Pawcia, wszak to Jakób tam za opłotkami.

— A Jakób, to szelma! uciekł od cegielni, patrzcie jak mu się ślipie łypią jak u wilka, kiedy się do owczarni skrada, ha ha! on przypatruje się koczowi, a no, niechże go zobaczy, mówiła Obrobska, rada dziś wszystkich uszczęśliwić pozwoleniem oglądania kocza i machnąwszy ręką, dała znać Jakóbowi aby się zbliżył. W jednej chwili dworski się wyprężył, przeskoczył przez płot i jak strzała przyskoczył do pani.

— A to ty szelmo uciekłeś z cegielni, zawołała pani Obrobska, udając zagniewaną.

— Jaśnie pani, nie mogłem wytrzymać jakem się dowiedział, że kareta przyjechała, tak mi wszystko z ręki wypadało, aż uciekłem i z po za opłotek chciałem się temu dziwu przyglądać, mówił Jakób prawie z płaczem, ściskając nogi pani Obrobskiej.

— No, to patrz, patrz, a to ciekawi ludzie, patrzajno panie jak to wszystkich jentruje ta kareta; ja mówiłam dawno mężowi: kup kocz a ludzie będą patrzyć na nas zaraz inaczej, a on na to: «Ja głowa domu, wiem co mi wypada robić, jeszcze czas na kocze. Jak Bocianka będzie naszą, Agacio będzie w domu, wtedy się o powozach pomyśli. Dopóki Bocianka będzie w ręku drugich, jedźmy na bryczce plecionej. — Szczęściem jakoś Bóg dopomógł, i Bocianki nasze i Agacio w domu, a do tego p. Marszałkiewicz w sąsiedztwie zbankrutował, teraz sprzedaje powozy i konie, poczciwy Pinkas zajął się interesem, dobił targu o karetę, którą sam mój mąż sobie wybrał.

(D. n.)

Rozmaitość.

Rossyjski poeta. Polelajew znany już był z ładnych swych utworów, będąc jeszcze studentem na uniwersytecie w Moskwie. Między innemi napisał on poemat humorystyczny S a s z k a, parodujący O n e g i n a Puszkina. Lekkim i dowcipnym wierszem rzuca się w nim na różne rzeczy, a nawet i cesarzowi nie przebacza. Poemat ten w manuskrypcie biegał z rąk do rąk. Tajna policja przedstawiła manuskrypt ten cesarzowi. Porwano w nocy młodego po-

cię i przywiedziono przed cesarza Mikołaja, który rozkazał mu przeczytać głośno swój poemat w obec niego i ministra Liewena. Po czem rzekł do niego: „Pozwalam ci oczyścić się przez służbę wojskową." Zbliżył się do niego, i położywszy mu rękę na ramieniu dodał: „Los twój w twem własnem jest ręku, jeżeli bym zapomniał o tobie, możesz pisać do mnie." I pocałował go w czoło. Polelajew nieraz zaręczał, że tak było w rzeczy samej. Od cesarza zaprowadzony do Dybicza, dostał się nareszcie do obozu jako prosty żołnierz. Tak przeszło trzy lata. Polelajew przypomniał sobie słowa cesarza i napisał do niego, lecz żadnej nieodebrał odpowiedzi. W kilka miesięcy napisał drugi list, leez i ten został bez odpowiedzi. Przekonany że listy nie dochodzą, wykradł się z pułku, aby cesarzowi prośbę swoją osobiście doręczyć. Złapany w Twerze, wrócił nazad do półku, okuty w kajdany jako dezerter. Sąd wojenny skazał go na bieganie przez rózgi, wyrok podano cesarzowi do potwierdzenia. Polelajew chciał sobie życie odebrać przed wymierzeniem okropnej i haniebnej kary. Naszukawszy się nadaremnie broni jakiej lub ostrego przedmiotu w więzieniu, zwierzył się staremu żołnierzowi, który go polubił. Żołnierz przyniosł mu bagnet, mówiąc ze łzami w oczach: „Sam go naostrzyłem." Cesarz tymczasem kazał, by niebito poetę. Wówczas to napisał on swój poemat poczynający się od słów: upadłem pozbawiony nadziei, szatan przeznaczenia mego zwyciężył. Wysłano go na Kaukaz, gdzie wkrótce został podoficerem. Tymczasem lata biegły; serce poety pękało z rozpaczy i braku nadziei. Zaczął pić aby się zagłuszyć. Jest jeden wiersz jego okropnie piękny: „do wódki". Prosił by go przeniesiono do pułku karabinierów w Moskwie. Udało mu się to, i los jego polepszył się nieco. Ale miał już suchoty, co mu piersi toczyły. Dogorywał cztery lata jeszcze, i umarł wreszcie w żołnierskim lazarecie. Gdy po śmierci przyszedł jeden z jego przyjaciół, prosząc o trupa, by go mógł uczciwie pochować, nikt nie wiedział, gdzie jest trup poety. W lazarecie prowadzą handel trupami, przedają je do uniwersytetu do gabinetu anatomicznego na szkielety. Nareszcie znaleziono trupa biednego Polelajowa, rzuconego do piwnicy pomiędzy inne trupy: szczury go obsiedli i obgryźli już jedną nogę. Poemata jego zebrane razem wydano po śmierci, i chciano dołączyć wizerunek jego w stroju żołnierskim. Dodano szlify oficerskie biednemu poecie na portrecie. Polelajew został oficerem w szpitalu.

Przyjechali od dnia 13. do 16. Października do Lwowa.

JExc. hr. Schlick ze Stryja. JExc. książę Schwarzenberg. Drohojowski Kazimirz hr. z Tamanowic. Borkowski Seweryn hr. z Szuparki. Jabłonowski Ludwik hr. z Nastassowa. PP. Rozwadowski Bronisław, z Tuchowa. Gumowski Wiktor, z Borek. Żarski Kazimierz z Kulawy. Glixelli Teodor z Glinian.

Hr. Lanckoroński Teodor i hr. Stadnicki Aleksander, z Przemyśla. Hr. Dzieduszycki Edward, z Budyłowa. Baron Buol Bernburg Wojciech, z Wiednia. PP. Augustynowicz Zygmunt, z Krakowa. Zawadzki Józef ze Stryja. Wojczyński Alfred, z Tuligłów. Kraiński Maurycy, z Rzeszowa. Nowosielski Judwik ze Zborów.

PP. Antoniewicz Deodat, z Przemyśla. Bartmański Feliks, z Tadania. Kadłubiski Adrian, z Tetewczyc. Urbański Władysław, z Rustanowiec. Gottlieb Feliks, z Dołhomościsk. Hohen Józef, i Szuszkiewicz Jędrzej, ze Stryja.

Wyjechali od dnia 13. do 16. Października ze Lwowa.

Badeni Władysław hr. do Surochowa. PP Kronstein Hipolit, do Przemyśla. Szawłowski Ludwik, do Przewłuki. Żardziński Narcyz, do Malowod. Łodyński Hieronim do Miłatyna. Wiśniewski Wiktor do Strzelisk.

Hr. Dzieduszycki Tadeusz, do Żółkwi. Hr. Baworowski Wacław, do Gajów. PP. Rudnicki Teodor, do Strzałek. Trzciński Ludwik, do Żurawna. Zakrzewski Adolf, do Mikołajowa. Żarski Kazimierz, do Kulawy. Białobrzeski Stanisław, do Dzidziłowa. Thulie Ludwik, do Kamionki. Smarzewski Zygmunt, do Cieszanowa.

JExc. książę Schwarzenberg, do Krakowa. Hr. Lanckoroński Tad., do Żółkwi. PP. Krajewski Mikołaj, do Żółkwi. Cywiński Łucyan, do Nowego sioła. Krall Tomasz, do Czerniowiec.

Wczorajszy **Kurs Lwowski**		Gotówka				towarem.		
Dukat holenderski	zł.r.	5	kr.	15	zł.r.	5	kr	19
Dukat cesarski	„	5	„	18	„	5	„	21
Półimperyał zł. rosyjski . . , ...	„	9	„	5	„	9	„	8
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	45	„	1	„	46
Talar pruski	„	1	„	40	„	1	„	42
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	15	„	1	„	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	91	„	25		91	„	53
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		66	„	—	„	66	„	30
5 proc. pożyczka narodowa		77	„	45	„	78	„	30

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY" Nr. 123 z roku 1855.

179 2—3.

Nowości literackie

W KSIĘGARNI K. WILDA WE LWOWIE,

w rynku na rogu ulicy Dominikańskiej.

☞ Dzieła oznaczone * można także *pożyczać do czytania* w wypożyczalni do tejże księgarni należącej. Abonament miesięczny kosztuje 1 złr. Na wieś po 10 tomów na raz 3 złr.

* Kraszewski, J. I., Powieść bez tytułu. 4 tomy we 2ch w 8ce Wilno 1855. 6 złr. 54 kr.

---

* Niewiarowski, A. Los-opiekun. Powieść w 8ce Wilno 1855. 1 złr. 30 kr.

---

* Rozrywki wieczorne przy kominku. Z 3 stalorytami i 23 drzeworytami w 8ce mał. Poznań 1855. 1 złr. 20 kr.

Światowid. Zbiór rozpraw ku upowszechnieniu pożytecznych wiadomości. Tom I. O wynalezieniu balonów. Z 23 drzeworytami w 8ce mał. (Ten zeszyt zawarty w Rozrywkach wieczornych) Poznań 1855. 30 kr.

---

* Syrokomla, Włd. Gawędy i rymy ulotne. Poczet trzeci w 12ce. Wilno 1856. 2 złr. 30 kr.

Moniuszki St. Czwarty śpiewnik domowy. Na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu. Zawiera 19cie pieśni 9 złr.

Pracownia sukień męskich

F. BAŁUTOWSKIEGO

pod Nr. 323 przy ulicy nowej

posiada zapas znaczny sukień gotowych, a przy teraźniejszej porze jesiennej zaopatrzyła się w stosowne materje wełniane jesienne i zimowe. Sukni tak gotowych jak i zamówionych dostać w tej pracowni można po rozmaitych cenach niższych i wyższych.

1. **Surduty wierzchne,** tak zwane **Oberroki,** w cenie od 25 złr. do 50 złr. m. k. różnie, bruxeliną, półsuknem lub całe jedwabiem podszyte.
2. **Bundy do podróży** z grubego sukna, bardzo trwałe i nieprzemakające, od 25 złr. do 30 złr. m. k.
3. **Paletoty** do ciała przystające, od 20 złr. do 30 złr. m. k.
4. **Profetki** jakoteż **Karbonarki**, watowane lub dwustronne od 20 złr. do 35. złr. m. k. i to w każdym kolorze w jakim sobie kto życzy.
5. **Fraki** od 18 złr. do 30 złr. m. k.
6. **Pantalony** rozmaite, od 8 złr. do 14 złr. m. k.
7. **Kamizelki** pliszowe, axamitne, od 8 złr. do 12 złr. axamitne od 6 złr. do 12 złr. wełniane zimowe od 4 złr. 30 kr. do 7 złr. lżejsze od 3 złr. 30 kr. do 5 złr. m. k.

Kto mieszkając na prowincyi nie może sam przybyć do Lwowa dla wzięcia miary, potrzebuje jedynie przesłać objętość korpusu swego pod pachami z uwagą czy budowa, cała jest zwyczajna, regularna, lub w czem się od zwyczajnej różni. Podług wyrachowań krawiectwa paryskiego pracownia uskuteczni podług tego robotę żądanych sukni, a za udatność jej ręczy. (170 5—12)

Nowości literackie

w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

Uwagi godna sposobność!

Zadziwiająco tania

SPRZEDAŻ

Płócien, Bielizny stołowej, Ręczników,

i innych przedmiotów płóciennych, na których

z cen fabrycznych opuszcza się 30 procent.

Dobre imię firmy mojej jest rękojmią, że uwiadomienie moje nie ma zamiaru, ażeby chęć kupienia mającą Publiczność do kupowania lichego towaru przynęcić.

Szanowna Publiczność kupująca jako i niekupująca raczy się łaskawie naocznie przekonać, że tak trwało wyrobiony towar pod tak korzystnemi warunkami, niebędzie może miała już więcej sposobności do nabycia.

Ażeby wszelkie niedowierzanie Szanownej Publiczności usunąć, a prawdziwość zaręczyć, jeśliby się w moim towarze bawełna znajdowała,

więc oświadczam:

Po pierwsze: że ja mój towar płócien pod wyraźną gwarancją jako prawdziwy lniany i z dokładną miarą sprzedaję, i temu zapewniam

nagrodę 50 dukatów w złocie,

ktoby w prawdziwym lnianym kawałku odemnie kupionym choć najmniejszą część przymieszanej bawełny znalazł.

Powtóre: podaję jako prawdziwy środek do rozpoznania w przeciągu 5 minutach, czyli ten towar jest prawdziwy lub nie.

Środek do rozpoznawania bawełny:

Wycina się pasek której bądź tkanki, pierze się go i suszy, potem przez 2 minut trzyma się go w rozpuszczonym kwasie siarczanym (kupionym w aptece za 2 kr.), płucze się dobrze w wodzie mydlanej i wyciska się go w bibulastym papierze; jeżeli się w nim znajduje bawełna, to te nici bawełny tak wyjedzone będą, że tylko nici lniane pozostaną.

Ceny stałe, z których w żaden sposób nic się nieopuszcza.

Tuzin białych chustek od nosa . . . od 3 złr.
Sztuka serwet od kawy w różnych barwach . « 1 «
Tuzin serwet pod owoce » » . » 1 «
» ręczników, łokieć po 7 kr.
« białych płóciennych ręczników . . . 3 »
Sztuka płótna górskiego z przędzy ręcznej $^5/_4$ łokcia szeroka, 40 łokci . . . . od 8 «
Sztuka detto z przędzy ręcznej $^5/_4$ łokc. szeroka, 54 łokci . . . . 11 «
Sztuka detto na 12 koszul. $^5/_4$ łok. szeroka, 56 łok. 12 «
Sztuka detto cienka na 12 koszul, 56 łok. . 14 «
« weby płóciennej z prawdziwej przędzy ręcznej . . . . . 66 łok. od 20 złr.

i wyżej

Sztuka prawdziwego płótna rumburskiego $^6/_4$ łokc. szer. 70 łok. . . . . . . 24 »
Sztuka belgijskiego koronówego płótna przedniego $^6/_4$ łokcia szeroka . . . . . 70 łok 30 »
Sztuka prawdziwego płótna brabanckiego z przędzy ręcznej na trawie blichowanej $^6/_4$ łok. szeroka 36 «
Sztuka irlandzkiej weby po cenie bardzo znižonej.
Sztuka płótna na prześcieradła $^8/_4$ $^9/_4$ $^{10}/_4$ łokcia szeroka w porównaniu po jeszcze niższej eenie.
Bielizna stołowa na 6, 12, 18 i 24 osób po bardzo miernych cenach.

i wyżej

Dla wyprzedania prędszego dodaje się przy przedaży naraz za **100 zlr.** m. k.

Gratis

Obrusik od kawy z sześcią stosownemi serwetami, pół tuzina cienkich białych chustek od nosa i wielki obrus bez szwu.

Miejsce sprzedaży w hotelu angielskim na pierwszem piętrze Nr. 71.

J. Kaufmann,
pełnomocnik c.k. uprzywilejowanych Hurtowników H. Schönaug i Hecht.

(187. 2—3)

Frühere Ziehung.

Die mit a. h. Bewilligung **Sr. k. k. Apost. Majestät** vom k. k. priv. Grosshandlungshause **J. G. Schuller & Comp.** eröffnete

2te Classen-Lotterie

erfreut sich in allgemeiner Anerkennung der **ungewöhnlichen Vortheile**, welche den Losbesitzern dabei geboten werden, eines so lebhaften Absatzes der Lose, dass mit Genehmigung des **h. k. k. Finanzministeriums** die erste **Ziehung dieser Lotterie** um mehr als zwei Monate früher, als diess im Spielplane bestimmt war, mithin

Schon am 3ten November dieses Jahres

unwiderruflich stattfindet.

Es werden bei dieser Lotterie gewonnen:

Gulden 810,525 W. W.

in vier Dotationen von

fl. 37,280 — 263,325 — 252,200 — 257,720

mit 6 Haupttreffern von

fl. 100,000 — 60,000 — 40,000 — 30,000 — 20,000 — 15,000

und 64,199 Neben-Gewinnste

von fl. 8000 — 5000 — 4000 — 3000 — 2500 — 2000 — 1500 etc.

Se. k. k. Apost. Majestät geruhten diesem Lotterie-Unternehmen, dessen ganzer Reinertrag zur Hälfte für den Karolinenthaler Kirchenbau und zur Hälfte für den F. M. Fürst Windischgrätz Invalidenfond bestimmt ist, ganz **aussergewöhnliche** Begünstigungen zu gewähren, wodurch es ermöglicht wurde, diese Verlosung mit der vorstehenden, noch **niemals** bestandenen **Treffer-Anzahl** auszustatten. Es sind demnach den Losbesitzern nicht nur sehr **bedeutende Geldgewinnste** in Aussicht gestellt, sondern auch die Gelegenheit geboten, die von **Sr. Majestät dem Kaiser** hiefür bestimmten Wohlthätigkeitszwecke zu fördern und zu unterstützen.

Das Los der I. und II. Klasse kostet fl. 3 — das Los der III. Klasse fl. 6 — und das Los der IV. Klasse fl. 10 Conv. Mze.

Diese Lose werden durch das vorbesagte Grosshandlungshaus am Hof Nr. 329 in Wien ausgegeben, und sind in den Geschäftslokalitäten, wo die betreffenden Anschlagzetteln es ersichtlich machen, zu haben.

Wien, im Oktober 1855.

In Lemberg sind Lose dieser Lotterie zu haben bei Herren **J. L. Singer & Comp.**, so wie in allen Handlungen und k. k. Lotto-Collecturen, wo die betreffenden Anschlagzetteln affigirt sind.

(177 3—6)